

WSZYSTKIE SMAKI ŻYCIA
-1-

SZCZĘŚCIE NA WAGĘ

AGNIESZKA
OLEJNIK

FILIA

AGNIESZKA
OLEJNIK

SZCZĘŚCIE
NA WAGĘ

WSZYSTKIE SMAKI ŻYCIA
-1-

FILIA

*Z uściskami dla Renaty Bednarczyk –
mojej wiernej Czytelniczki!*

STYCZEŃ

– Będzie dobrze – powiedziała Ewa, patrząc sobie w podpuchnięte oczy.

Nie zrobiły się takie od płaczu czy z niewyspania. Po prostu rano zwykle miała podpuchnięte.

Stała nago w łazience i usiłowała podjąć jakieś decyzje. Większość ludzi nazywa to postanowieniami noworocznymi, ale ona potrzebowała innej nazwy. Przemeblowanie. Remont życia.

Będzie dobrze, tylko muszę wreszcie zdobyć się na jakieś zmiany, powtarzała w duchu. I zdobędę się, dam radę. Chyba nie ma sensu dłużej czekać w nadziei, że los się do mnie uśmiechnie. Zacznę realizować plany i spełniać marzenia, skoro one same jakoś nie chcą się spełniać.

À propos marzeń, jednym z nich był pies. Malutki piesek. To znaczy tylko na początku malutki. Chciała mieć dużego psa, docelowo dużego. Sama była niewysoka i właściwie nawet z jamnikiem na końcu smyczy czułaby się dobrze, ale gdy pomyślała, że Klaudia miałaby wziąć na spacer taką kruszynkę... Wyglądałoby to zaiste groteskowo.

Wracając do psa, a odsuwając myśl o rozmiarach Klaudii – Ewa marzyła o nim od zawsze. W jej domu

rodzinnym psy po prostu były naturalnym elementem życia, równie oczywistym jak kalendarz i zegar na ścianie, ogień w kominku czy miękkie, wygodne kapcie. Kiedy Ewa przeniosła się do akademika, właśnie za psią mordą tęskniła najbardziej. Przez całe studia wyobrażała sobie, jak będzie wyglądało jej dorosłe, samodzielne życie. Miała zamieszkać we wspaniałym domu z ogrodem, mieć przystojnego, inteligentnego i zabawnego męża oraz pięknego psa; i mimo tego ogródka wraz z mężem zamierzała chodzić na długie spacery po lesie, bo pies się w ogródku nudzi, a jak się nudzi, to kopie dołki i niszczy rośliny. Rośliny też sobie wymarzyła: kolorowe, kwitnące, nie tak jak na wsi u rodziców, gdzie ogród oznaczał niemal wyłącznie warzywa i owoce, do tego może ze dwie kępki floksów i malwy pod oknem.

Kiedy poznała Mirka, sceneria w tych fantazjach uległa pewnej transformacji – las przeistoczył się w park, bo Mirek zdecydowanie nie pasował do lasu. Okazał się nieco zbyt wymuskany i „cywilizowany”, niezupełnie przystający do wcześniejszych fantazji Ewy, ale postanowiła się nie czepiać, bo z drugiej strony był niezwykle przystojny i imponował jej jakąś taką powagą, dorosłością.

Z biegiem czasu spraw, których Ewa „postanawiała się nie czepiać”, pojawiało się coraz więcej – rezygnowała więc z kolejnych marzeń, takich jak właśnie pies albo na przykład kwiaty w ogródku (Mirek lubił tylko ogrody nowoczesne, z iglakami ciętymi w kulkę, smukłymi kępami traw i białym żwirem zamiast trawnika – twierdził, że tradycyjny ogród wiejski, taki z kwitnącymi

chaszczami, jest bałaganiarski i podśmierduje obornikiem).

Wracając do tu i teraz – co jeszcze? Aha, zapisze się na kurs angielskiego. Zawsze chciała wiedzieć, o czym śpiewają jej ulubieni piosenkarze, w młodości marzył jej się wyjazd do Szkocji, zwiedzanie starych zamków, lekcje tańca celtyckiego i dobre piwo w pubie. Teraz wystarczyłyby jej te piosenki, może jakiś dobry film bez lektora, nie wspominając o tym, jak cudownie byłoby móc przeczytać książkę w oryginale. Znalazła już nawet szkołę językową, zajęcia w grupie dorosłych odbywały się w środy wieczorem i w soboty rano. Idealnie.

I będzie lepszą matką. Mądrą. Konsekwentną, ale czułą (o ile Klaudia jej na to pozwoli, oczywiście). Zrobi coś – tylko nie miała pojęcia, co by to miało być – żeby córka schudła; przecież to okropne, aby nastolatka ważyła prawie setkę. W ogóle zamierzała postępować z Klaudią jakoś inaczej niż dotychczas, lepiej. Tylko niezupełnie wiedziała, na czym to ma polegać.

W ramach prezentu pod choinkę Ewa kupiła sobie eleganckie pióro Parkera i ładny, gruby zeszyt z okładką w żaby. Właściwie miał to być notatnik na zajęcia z angielskiego, ale jakoś ją dzisiaj podkusiło, żeby wypróbować pióro – i zrobił jej się z tego zeszytu rodzaj pamiętnika. Pisanie zadziało jak kozetka psychoterapeuty; spod stalówki zaczęły się wylewać niespełnione zamierzenia i plany. Może to dobrze? Może robi się źle?

Jeszcze co do Klaudii i jej wagi: Ewie powiedziano, że źródło problemu tkwi w nawykach żywieniowych. Prawdopodobnie źle ją karmiła już wcześniej, w dzieciństwie,

teraz zapewne też robiła coś źle. Klaudia była szczuplutkim i beztroskim dzieckiem – aż do czasu, gdy zaczęła dojrzewać. Mniej więcej cztery lata temu, w wieku lat dwunastu, nagle zamknęła się w sobie, przestała się odzywać, najpierw do ojca, potem do matki. I zaczęła jeść. Podjadać, objadać się, żreć. Naprawdę.

Lekarz powiedział, że owszem, dziewczynki w tym wieku mogą się znacząco zaokrąglić, ale gdyby w rodzinie mądrze komponowano posiłki, to Klaudia wyrobiłaby sobie poprawne nawyki i to wszystko nie miałoby prawa się zdarzyć. Czy Ewa faktycznie źle komponowała te cholerne posiłki? Pewnie tak. I swoje, i córki, i męża. Może należałoby zanotować, co się jadło, i potem ocenić, czego było za dużo, a czego zabrakło?

Wyszła z łazienki, usiadła na sofie w salonie, wzięła do ręki nowe pióro, pochyliła się nad ślicznym brulionem w żaby, zrobiła szlaczek pod poprzednimi zapiskami (tymi o psie oraz kursie angielskiego) i spróbowała spisać wszystko, co zaserwowała sobie i Klaudii poprzedniego dnia. Mirka nie było od paru dni, więc ich jadłospis wyglądał nietypowo, ale Ewa i tak postanowiła go przeanalizować. Rano: kawa (dla córki herbata z cytryną i z cukrem, bo innej Klaudia nie lubiła), po dwie bułki z masłem, szynką, pomidorem i rzeżuchą. Do tego momentu było nieźle. Na drugie śniadanie rogal z miodem i jogurt brzoskwinowy. Obiad: ziemniaki (Ewie nie chciało się gotować, więc podsmażyła te, które zostały z poprzedniego dnia), schabowy w grubej panierce, buraczki ze słoika. Dużo było tych buraczków, bo obie bardzo lubią. Potem kawa i mała czekoladka. No dobrze, dwie czekoladki. Klaudia zjadła

ich więcej, do tego zamiast kawy wypila puszkę coli. Kola-
cja: po cztery kanapki z pasztetem domowej roboty (pew-
nie źle, bo wyszedł bardzo tłusty) i ogórkiem kiszonym.
Klaudia chyba zjadła coś jeszcze późnym wieczorem, ale
Ewa nie miała pojęcia, co to było. Słyszała tylko sapnięcie
otwieranej lodówki.

Sporo tego. Kiedy tak przejrzała zapisane produkty, do-
strzegła wyraźnie, że po pierwsze – za dużo i zbyt kalory-
cznie, a po drugie – niewiele w tym witamin i tych in-
nych „mikrodrobiazgów”, które zalecali dietetycy.

Nic dziwnego, że Ewa sama także miała nadwagę –
uzbierało się tego z dziesięć kilogramów niepotrzebnych
krągłości. Tyle że jej już nie zależało. „Po czterdziestce i tak
nie da się schudnąć”, mówiły wszystkie koleżanki, które
usiłowały wrócić do dawnej wagi po przekroczeniu owego
magicznego progu. W ciągu ostatnich kilku lat Ewa prze-
konała się, że miały absolutną rację. Próbowała wielu diet,
znajdowała je w internecie, kupowała książki o „nowym
rewolucyjnym” sposobie żywienia, a dwa razy szarpnęła
się na jadłospisy u dietetyka. Nawet jeśli działały, to na
chwilę, potem nadwaga wracała z nawiązką. Ale na ogół
nie działały wcale – ot, Ewa traciła raptem dwa kilo, by za
chwilę je odzyskać, więc w zasadzie nigdy nie miała pew-
ności, czy to tłuszczu jej ubyło, czy raczej wody albo jakichś
magicznych zapasów glikogenu, o którym trąbiły kolejne
artykuły dotyczące odchudzania.

A zresztą dla kogo miałyby się odchudzać? Mirek i tak
już na nią nie patrzył, poza tym zawsze twierdził, że woli
kobietki przy kości. Nie mówiąc o tym, że dla cery lepiej,
gdy ma się trochę tłuszczu. Podobno Catherine Deneuve

stwierdziła, że po trzydziestce kobieta musi wybierać między twarzą a figurą. Na szczupłej twarzy widać każdą zmarszczkę.

No dobrze, wszystko to prawda, ale prawdą było też, że zupełnie bez sensu Ewa wpychała w siebie i w córkę takie ilości jedzenia. A najgorsze, że przecież Klaudia na tym nie poprzestawała. Matka doskonale wiedziała, że jej pociecha dostaje spore kieszonkowe od taty. I nie kupuje za nie książek czy płyt, lecz chipsy, frytki, hamburgery i tak dalej.

Ewa odłożyła notes i westchnęła głęboko. Wobec braku wspólnego frontu z mężem czuła się zupełnie bezradna. Mirek wychodził z założenia, że jeśli Klaudia nie zamierza walczyć o szczupłą sylwetkę, to im nic do tego. Kiedy dojrzeje do zmiany, zacznie się odchudzać.

Jego żona inaczej pojmowała odpowiedzialność rodzica za dziecko. Otyłość Klaudii odbierała jako osobistą porażkę. Niestety, z jej uczuciami nikt się nie liczył. Ilekroć usiłowała zrewolucjonizować rodzinną dietę, wprowadzić sałatki zamiast tradycyjnych kanapek albo przynajmniej zmniejszać porcje, jej mąż ostentacyjnie zamawiał pizzę dla siebie i córki – z komentarzem, że są głodni.

Ewa odsunęła notes i sięgnęła po stertę sprawdzianów z gramatyki, które musiała ocenić przed końcem ferii świątecznych. Gnębiło ją poczucie, że i tak nic się nie zmieni. Wszystkie jej plany „przemeblowania życia” są guzik warte.

*

Musiła mieć jakiś dobry, optymistyczny sen, ponieważ następnego dnia obudziło ją przeświadczenie, że nie wolno tak łatwo się poddawać. Przecież na pewno da się coś zrobić. Gdyby zaczęła gotować inne potrawy, mniej tuczące, ale na tyle sycące i smaczne, żeby Klaudia chętnie po nie sięgała... Może niepostrzeżenie udałoby się zmienić styl żywienia całej rodziny. Jeżeli dziewczyna zauważy choćby minimalną zmianę sylwetki, luźniejsze spodnie, leciutkie wcięcie w talii, cokolwiek – zmotywuje ją to do odchudzania.

Ewa zaparzyła sobie kawę i otworzyła leżący na ławie brulion w żabki z zamiarem zanotowania pomysłów na niskokaloryczny, choć smaczny jadłospis, ale okazało się, że po pierwsze, kartki z zapiskami z dnia poprzedniego zostały wyrwane, a po drugie – w brulionie widnieją notatki uczynione ręką jej nastoletniej córki. Dotyczące chemii, o ile Ewa zdołała się zorientować.

– Klaudia! – zawołała z groźbą w głosie.

Odpowiedział jej jakiś niezidentyfikowany przytłumiony dźwięk, coś w rodzaju „uhm”. Dochodził z łazienki. Ewa podeszła do drzwi i przez chwilę nasłuchiwała. Nic, cisza. Nacisnęła klamkę – zamknięte.

– Co ty tam robisz? – zapytała.
– A co można robić w łazience?
– Nie wiem. W toalecie to bym wiedziała. Ale w łazience, bez użycia wody...

– Można się malować, tak?
– Po co? Skoro nigdzie nie wychodzisz?
– No to smarować kremem!

Ewie nie podobał się ten ton. Znała swoją jedynaczkę na wylot, Klaudia zazwyczaj nie brzmiała tak płacząco.

– Beczysz?
– Nie!

Beczała. I Ewa doskonale wiedziała, że nie uda jej się wycisnąć z córki ani słowa na temat tego, co się stało. Z pewnością chodziło o wygląd. Cóż, gdybym ja w jej wieku była cięższa od własnej matki, też bym beczała, pomyślała. Ale z drugiej strony, gdyby o mnie chodziło, coś bym ze sobą zrobiła, do jasnej cholery.

Ileż razy proponowała córce, że zapisze ją na aerobik albo na basen, ile razy umawiała ją do dietetyczki, a potem musiała ze wstydem odwoływać te spotkania, bo Klaudia zapierała się rękami i nogami, że nie pójdzie. Zdarzyła się nawet wizyta u psychologa, podczas której słodka córeczka najpierw nie mówiła nic, a potem rzuciła wiązaną bluzgów, z której jasno wynikało, że ona będzie gruba, bo chce taka być, i tyle. A dlaczego? Ewa nie wiedziała. Człowiek nie wie wielu rzeczy, kiedy ma nastoletnią córkę. Spodziewała się, że może właśnie psycholog coś jej wyjaśni, ale ten rozłożył bezradnie ręce i powiedział, że

skoro pacjentka nie chce współpracować, to on, cholera, cudów nie zdziała.

Czekając, aż Klaudia zwolni łazienkę, wysprzątała kuchnię i wyjęła z zamrażarki żeberka na obiad. Wreszcie drzwi uchyliły się i dziewczyna wyszła. Zapłakana, tak jak Ewa sądziła. W dłoni ścisnęła telefon.

– Powiesz mi?

Klaudia wzruszyła ramionami. Ewę zawsze zastanawiało, czy młodzież w pewnym wieku ma jakieś szczególnie ruchome stawy barkowe. Niekiedy odnosiła wrażenie, że ten gest był głównym sposobem jej córki na porozumiewanie się ze światem – przy czym mógł oznaczać wszystko. Na przykład:

– Zamówimy dzisiaj pizzę? – To Ewa, oczywiście.

Klaudia: wzruszenie ramionami. Czyli, jak sobie nie-szczęсна matka tłumaczyła, coś w rodzaju: „Może być”.

Albo inne zastosowanie:

– Widziałam dziś tego twojego kolegę, Patryka.

Ot, taka próba zagajenia z jej strony; o czymś w końcu wypadałoby pogadać, a Patryk z sąsiedniego bloku był jedynym chłopakiem, z którym Klaudia czasami rozmawiała. Ewa podejrzewała nawet, że córka się w nim trochę podkochuje, bo reagowała na jego imię dziwnym zakłopotaniem. No więc mogłaby coś powiedzieć, na przykład zainteresować się, dokąd szedł, czy był sam, cokolwiek. Nic z tego, tylko wzruszyła ramionami. Czyli tym razem, jak mniemała Ewa, wyszło z tego: „Mam to gdzieś”.

I tak dalej. Sytuacji, w których dało się zastosować wzruszenie ramionami, było mnóstwo, a Klaudia okazywała się

mistrzynią w ich znajdowaniu – jej matka zaś biła rekordy, jeśli chodziło o interpretację.

Tak czy owak, nie poznawszy ostatecznie powodu płaczu córki, Ewa przeszła do tematu zasadniczego, czyli brulionu, który dziewczyna przywłaszczyła sobie całkowicie bezprawnie.

– Chyba żartujesz – prychnęła teraz Klaudia w odpowiedzi na zarzuty. – Ja potrzebuję zeszytu, a ty jakies głupoty piszesz, co jedliśmy i kiedy, i że chciałybyś psa, kwiatki czy coś tam. Po co? Bez sensu.

„Bez sensu” było jak wzruszenie ramionami – nadawało się na każdą okazję i z ust Klaudii padało znacznie częściej niż jakiegokolwiek inne słowa. Inna sprawa, że na ogół nastolatka nie odzywała się wcale.

– Ale dla mnie to nie jest bez sensu – odparła Ewa wyniośle. – Może tego nie rozumiesz, trudno. Tak czy owak, potrzebuję tych zapisków. A przy okazji, ty też mogłabyś pisać dziennik albo po prostu zapisywać własne myśli. To bardzo oczyszczające.

– Bez sensu – powtórzyła Klaudia. – Zwierzać się samej sobie... Po co? Idiotyczne. Zresztą teraz nikt nie pisze pamiętników. Teraz się prowadzi bloga.

– Może twoje pokolenie. Moje pisze pamiętniki.

Dziewczyna ponownie wzruszyła ramionami i poszła do swojego pokoju. Po drodze ostentacyjnie zabrała z ławy w salonie brulion w żaby.

Ewa stała bez ruchu, nagle całkowicie pozbawiona energii. Nie umiała się porozumieć z własną córką. Co więcej, ostatnimi czasy zdarzało się jej myśleć o tym,

że – o zgrozo! – wcale jej nie lubi. Kocha, ale nie lubi. Czy to było możliwe? I normalne?

Oczywiście, mogła szarpać się dalej. Mogła zabrać córce ten zeszyt albo dać Klaudii mniej kieszonkowego i za te pieniądze kupić sobie nowy brulion, żeby udowodnić, że to ona jest górą. Mogła. Tylko po co? Nie chciało jej się. Nie dostrzegała żadnego sensu we własnych działaniach wychowawczych. Zresztą czy na tym polega wychowanie?

Nie miała zielonego pojęcia, co robić. Nie umiała być mądrą matką, tak jak zapewne nie umiała być mądrą żoną. Nie potrafiła rozmawiać z nastolatką i kompletnie jej nie rozumiała. Brzmiało to paradoksalnie, jeśli wziąć pod uwagę, że w pracy całkiem niezłe dogadywała się z dziećmiakami w różnym wieku.

*

Całą kolejną noc myślała o tym, jak pomóc Klaudii. I sobie. Co można zrobić, żeby życie w ich domu stało się znośne? Doszła do wniosku, że więcej rozmawia ze swoimi uczniami podczas przerw w szkole niż z własną córką wieczorami, które wprawdzie na ogół spędzały w domu, ale każda zamknięta w swoim pokoju. Ewa czuła, że musi znaleźć coś, co stanie się ich wspólną sprawą, jakiś temat do rozmów, punkt zaczepienia.

Kiedy wstała po bezsennej nocy, wzięła głęboki wdech, po czym poprosiła Klaudię, żeby jej pokazała, jak się zakłada tego cholernego bloga. Pokazała, owszem. Robiła przy tym takie miny, jakby przyszło jej rozmawiać z idiotką. Okej, przełknę to, pomyślała zgnębiona matka.

Na razie jeszcze przetykała wszystko. Obawiała się tylko, że pewnego dnia stanie jej to w gardle i wtedy wykrzyczy, wyrzeshczy z siebie całe lekceważenie, którego doświadczała od własnego dziecka. Ale to jeszcze nie był ten dzień.

Tak czy owak, spędziły razem całą godzinę. Pierwszy raz od kilku lat córka siedziała obok niej i nie obraziła się ani nie wzruszała ramionami. Prychnęła z pogardą tylko raz, kiedy po długim namyśle Ewa zdecydowała się na nazwę bloga: „Nowa ja”.

Może to nie był taki zły pomysł? W sensie nie ta nazwa, tylko w ogóle blog.

Kiedy Ewa została sama przed komputerem, otworzyła kokpit (nie miała dotąd pojęcia, że tak to się nazywa, ale podobało jej się – brzmiało „żeglarsko” i dawało złudzenie czekającej ją przygody). Czuła się trochę jak nastolatka robiąca coś, co nie spodobałoby się mamusi. Zupełnie bez sensu – jak rzekłaby Klaudia – ale w sumie jeżeli coś tak banalnego jak prowadzenie dziennika internetowego miałyby poprawiać Ewie nastrój, to chyba szła dobrą drogą. W dodatku był to jakiś sposób komunikowania się z córką, bo Ewa nie miała wątpliwości, że jej dziecko będzie tu zaglądać.

Tytuł wpisu... Niech będzie „Dobry początek”.

Dobry początek

To mój pierwszy wpis na blogu. Proszę się nie śmiać. Nie umiem tego robić i szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, PO CO to robię. Ale kiedy człowiek nie ma kompletnie żadnego pomysłu, jak sobie poradzić, chwytą się pierwszej lepszej idei, byle drobiazgu.

Nic nie rozumiecie? Czy w ogóle istnieją jacyś „WY”? Do kogo ja się zwracam? Śmiesznie tak pisać anonimowo i do anonimowych odbiorców. Idea prowadzenia bloga wydaje mi się nieco szalona...

To może – aby ten wpis stał się bardziej zrozumiały – na początek coś o sobie:

Jestem czterdziestoparoletnią (nie bądźmy drobiazgowi) nauczycielką języka polskiego. Córka wyjaśniła mi, że nie

Ewa czuje się wypalona. Całkowicie oddana rodzinie, pewnego dnia odkrywa, że nie udało jej się spełnić żadnego z dziewczęcych marzeń. Mąż wydaje się nią znudzony, a córka zamknęła się w sobie i okazuje matce wrogość.

Czy to nie najwyższy czas, by porzucić rolę matki, żony oraz gospodyni domowej, i zawalczyć o siebie?

Kiedy na jaw wyjdą od dawna skrywane sekrety, okaże się, że stawką w tej walce jest nie tylko samopoczucie Ewy, ale też sprawy znacznie ważniejsze.

„Szczęście na wagę” pokazuje, jak ważna jest równowaga między poświęceniem dla rodziny i troską o siebie. Niepodbawiona humoru powieść z czułością pochyla się nad ludzkimi wadami i błędami, pokazując, że nigdy nie należy się poddawać.

FILIA

cena 47,90 zł

wydawnictwofilia.pl



Klub książki

**ONA
CZYTA**

Facebook.com/ONACZYTA

ISBN 978-83-8357-496-7



9 788383 574967